

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 17 MAJA 1930 ROKU

NR. 20

ANDRZEJ STRUG

14)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Nigdzie uśmiechu ani żywszej rozmowy. Zgnębienie i tępa obojętność na wszystko. I w Ludwigs-hafen nie było wesoło, ale życie było jednak możliwe, zakrawało ono na jakieś podobieństwo do dawnych czasów z przed wojny. Tu nastroczała się myśl, że stan taki nie może już potrwać długo, że nadchodzi kres, że w ciągu tej zimy musi przyjść nareszcie upragnione zwycięstwo i niechże się nie opóźnia...

Za to gazety codziennie dostarczały nowych dowodów na to, że zwycięstwo jest bliskie i nieuniknione i trąbiły zdrowym, oficjalnym optymizmem. Rosja się nie liczy, owszem, zdobędziemy tam niewyczerpany łup i każdy Niemiec będzie się mógł wreszcie najeść... Anglja kapituluje! Statystyka zatopionych statków okrywała mury olbrzymimi cyframi. Rumunja już daje zboże i naftę. Amerykanie? Bluff. Zresztą, gdyby nawet było w tem coś realnego, zajmą się tem po drodze nasze łodzie podwodne.

Łodzie podwodne i nic więcej! To było czyste zaślepienie. W departamencie chemicznym wręcz mu powiedziano, że Anglja nie dociągnie do nowego roku i koalicja będzie zmuszona prosić o pokój. Wobec tego nie warto już rozpoczynać rozbudowy zakładów w Ludwigs-hafen, ani w Biebrich, ani w Höchst, na tak kolosalną skalę, co pociągnęłoby miljonowe koszty i zabrałoby z frontu parę tysięcy robotników. Żółty krzyż jest bronią uniwersalną, możemy na nim poprzestać do końca, nieprzyjaciół nigdy nie zdoła go w tym czasie wytwarzać na skalę potrzeb frontu.— Zresztą, panie profesorze, wiemy dobrze, że chemja nie zna granic i gdyby okoliczności nas zmusiły, to przy pańskiej nieocenionej pomocy rzucimy na szalę nowy gaz, straszliwszy jeszcze od tych, które posiadamy. Niech pan pracuje nadal, a sztab ze swojej strony... Co do wyreklamowania z frontu jeszcze pięciu inżynierów i pięćdziesięciu chemików pomocniczych, to jest to drobnostka, którą załatwimy wedle pańskiego żądania. Departament wyda panu profesorowi odnośne zapotrzebowanie i z tym dokumentem uda się pan do Departamentu Ewidencyjnego; idzie o to, by tych panów odszukać, co zabierze trochę czasu. Drobnostka...

W sprawie tej drobnostki profesor pisał już dziesięć razy do Berlina i trzykrotnie posyłał swego zastępcę, a obecnie wybrał się sam i powraca z niczem. Łodzie podwodne i łodzie podwodne — broń chemiczna stała się w sztabie niemodną. Hamują rozwój studjów, skąpią ludzi i środków. Wierzą w jego genjusz odkrywczy. Ale żaden genjusz nie zdoła na jakiś alarm ze sztabu zaimprovizować terminowo olbrzymiej produkcji masowej w swoim laboratorium

doświadczalnem... Da Bóg, wojna nie dożyje wiosny, może obejdzie się bez nowych trucizn i bez pomocy profesora Wagera. Dlaczego nie uwierzyć kierowniczym czynnikom, odpowiedzialnym za bieg wojny? Jeżeli tam u góry są spokojni, dlaczego on ma się dręczyć? Zbytek patriotyzmu, a właściwie sugestia plotek, które jak zaraza wiszą w powietrzu i przenikają wszędzie; najrozumniejszy człowiek nie zdoła się im opędzić.

Uporczywa plotka niemiecka nie wierzy komunikatom, nie wierzy gazetom, nie wierzy w cesarza, nie wierzy w zwycięstwo, przestała wierzyć w samo bożyszcze narodu — w Ludendorffa. Plotka niemiecka wie wszystko. Zna bezsilną rozpacz cesarza, który już dwukrotnie odbierał sobie życie, zna z imienia i z nazwiska wszystkich zdrajców Parlamentu i jaki żołd pobiera każdy z nich, i który bierze od Anglji, i który od Ameryki, który zaś od Francji. Zna mnóstwo zakulisowych intryg, zna protokoły najtajniejszych narad, wie, co i kiedy mówił cesarz w cztery oczy z admirałem Tirpitzem, z marszałkiem Hindenburgiem, z cesarzem Karolem II, z kanclerzem Kühlmanem. Plotka niemiecka ma własną najściślejszą statystykę, więc trzy miliony poległych, milion jeńców, piętnaście tysięcy samych ślepców, którzy przebywają ukryci i strzeżeni w obozie w Schwarzwaldzie, by nie wywoływać przygnębienia i paniki. Plotka niemiecka ma własną pocztę i własny telegraf bez drutu, rozszerza się błyskawicznie. Bywa fantastyczna do absurdu i wówczas jest rozchwytywana i roznoszona z potrójną gorliwością przez ciemne baby z ogonków pod sklepami, przez profesorów uniwersytetu, przez członków Reichstagu...

Nie — trzeba ufać rządowi i naczelnemu dowództwu i właściwie profesor ufał. Dlaczego jednak w sprawie wojny chemicznej ustali w pół drogi, teraz właśnie, gdy dzięki żmudnej pracy kilku ludzi — ofiarników, przejętych swem wielkiem zadaniem i — co tu się bawić w skromność — dzięki odkryciom pewnego tajnego radcy otworzyły się nieobliczalne w skutkach perspektywy... Tak, profesor Wager sam jeden podjąłby się wygrać wojnę. Gdyby go dopuszczono do samego pierwszego generał-kwaternistrza, ten człowiek dałby się przekonać. Ale kierownictwo wojny chemicznej spoczywa w rękach tępych biurokratów, ludzi bez wyobraźni.

Dolegało mu, jako człowiekowi nauki, że zahamowano go w rozpędzie twórczym, że nie on, pierwsza powaga w tej dziedzinie, a pan pułkownik, który ukończył tam kiedyś wydział chemiczny jakiejś politechniki, decyduje o przebiegu jego prac i rozstrzyga

los wojny. Zdarzało się, gdy profesor pracował nad barwnikami, że rada nadzorcza zakładów chemicznych „Badische Anilin und Soda” w Ludwigshafen, złożona z bezmyślnych tłuszciochów synekurzystów, odrzucała jego genialne projekty ku szkodzie przemysłu niemieckiego. Ale tam szło o zyski, tu idzie o los Niemiec. Zresztą, jeżeli profesor Wager jest już niepotrzebny, jeżeli wystarczą łodzie podwodne, jeżeli koniec już tak bliski...

W Hannoverze na stacji, jak to było umówione telegraficznie, czekał Niemeyer. Nie widzieli się od wybuchu wojny, a już na parę lat przedtem od śmierci profesorskiej stosunki ich obumarły. Profesor wzruszył się, ujrzawszy znędzoną i postarzałą twarz dziwaka, w której jak żywe przebijały się rysy ukochanej żony i... Kurta... Był dlań usposobiony jaknajlepiej i zamierzał spędzić ten kwadrans czasu na serdecznym pogadaniu o niczem. Kto wie, kiedy się znowu zobaczą? Ale odrazu zaczęło się od kłótni.

— Witam cię, „Twórco Zwycięstwa”!

— Daj spokój, stary... Jak się mają twoje pajaki?

— Dziękuję, zdarzają się i między niemi dzikie bestje, ale nawet Scorpion Narboński nie zasługuje na to, by go porównać z przeciętnym Niemcem, a coś dopiero z okazem Tirpitz Hecatombicus Wilhelmis.

— Daj mu spokój, już go dawno djabli wzięli...

— Ale dzieło jego jest właśnie w najwyższym rozkwicie na wieczystą hańbę Niemiec. Pokolenia miną, zanim ludzkość zapomni nam...

— Ludzkość? Gdzie ta twoja ludzkość? Ten świat obmierzły, który nas blokuje, ogładza i który nam zaprzysiągł zgubę...

— Aha — trzeba było o tem pomyśleć, zanim wleźliście do Belgji, pod..... się owym sławnym „Chiffon de papier”...

— Jeżeli chcesz się koniecznie kłócić, to możemy się zaraz pożegnać...

— Ja się nie kłócę! Mówię prawdę. I gdyby żył twój syn, usłyszałbyś od niego to samo i kto wie, co byś teraz myślał o tem wszystkim. A Kurt siedziałby o tej porze w obozie karnym w Werl, jeżeliby go już dawno nie byli rozstrzelali. Przepadł na marne ten chłopiec genialny, najszlachetniejsze wcielenie rasy Schillera, Beethovena, Mozarta...

— To podłe tak mówić do ojca! Kurt nie zginął marnie. Jego bohaterska śmierć przysłużyła się ojczyźnie! Jego ofiara to część naszego zwycięstwa!

— Akurat. Będziecie wy widzieli zwycięstwo... Zetrą was na proch! I zaprawdę byłaby to zniewaga dla sprawiedliwości dziejowej, gdyby kulturę świata złamał jaskiniowy troglodyta z krzemienną pałą — Ludendorff... Nemezys dokona nad wami swej zemsty za pohańbienie ludzkości! Zresztą wskazują na to wszystkie obiektywne fakty z ostatnich miesięcy i tylko ślepi tego nie widzą... Nadchodzi straszliwy koniec...

— I ty się z tego cieszysz? Czy ty jesteś Niemcem, czy...

— Czy agentem francuskim, chciałeś powiedzieć? Powiedz otwarcie! Mów!

— Nie krzycz, bo ja się ciebie nie ulękę. Jesteś obłąkany, Niemayer!

— I ja się ciebie nie boję, Wager, choć jesteś djabło niebezpiecznym furjatem. Twoja wiedza i genjusz twój są na usługach krwawego oblędu... Trujesz i dusisz nieprzyjaciela twojami gazami, sam nie wiesz, że zatruwasz całą ludzkość. I straszliwie zapłacą Niemcy za twoje gazy, gdy na kolanach będziemy błagać o pokój...

Zamilkli. Pociąg wciąż jeszcze nie odchodził. Stał i stał ku udrczeniu ich obu. Czekano na transporty wojskowe, które terminowo miały przejść na zachód przed pośpiesznym cywilnym pociągiem. Czekano na pociąg sanitarny, który szedł z frontu i utknął gdzieś po drodze. Szwagrowie w milczeniu palili nędzne wojenne cygara i chodzili tam i z powrotem wzdłuż wagonu.

— Wager, nie chciałem takiej rozmowy. Dawnośmy się nie widzieli, powiem ci, że nieraz już chciałem wybrać się do ciebie, głównie zaś, powiem prawdę, aby zobaczyć Ritę. Popatrzeć na ten cud stworzenia... zadumać się nad niezgłębioną tajemnicą jej oczu... posłuchać jej muzyki... I cóż ona?

— Opanowana, spokojna, jak ongiś matka, ale ja wiem, trzyma się ostatnią resztką sił; wiesz, co to jest w takich czasach mieć męża na morzu...

— Ten wasz baron...

— Dajże mu spokój!

— ...Dostarczyciel tonnażu dla niemieckich gazet... Wiedz i pamiętaj, Wager, zapłacimy za każdą zatopioną tonnę. Praprawnuki nasze jeszcze płacić będą!

— Znowu zaczynasz swoje...

— Przepraszam się, stary. Widzisz i ja już ledwie znoszę wojnę.

— A pajaki?

— Pracuję, owszem, siedzę w tem po uszy... Wydałem świeżo grubą księgę i atlas — owoc dziesięciu lat pracy... Ale i do mojej samotni dosięgła wojna. Nawet ja, stary manjak...

— Cóż, przybyła ci tylko jedna manja więcej, nienawisć do Niemiec, stąd rola Kassandry, którą grasz z takim zapamiętaniem.

— Moja manja? Poza pajakami zawsze miałem jedną tylko manję — to była chluba całego mego życia — cześć dla wielkich idei ludzkości. Wolność! Równość! Braterstwo!... Przekłete prusactwo...

— Nie krzycz, Niemeyer, żandarmi się nam przyglądają.

Niemeyer urwał. Pluton żandarmerji rozstawiał na peronie placówki. Naczelnik stacji latał i kręcił się, poganiając służbę kolejową.

— Widać, wiozą ciężko rannych. Czy wiesz, że do takich pociągów nie dopuszczają nikogo? Żeby lud niemiecki, ujrzawszy dzieło wojny, nie opamiętał się i nie zażądał końca tej rzezi.

— Dla Niemca koniec — to zwycięstwo!

— A wiesz, taki będzie nasz koniec? Klęska, jakiej świat nie widział, a potem rewolucja, wobec której katastrofa rosyjska to sielanka!

— I ty na to czekasz?

— Wzdrygam się przed rewolucją! Ale widzę, że ku temu idzie. Staczamy się z fatalizmem. Rewolucja zniszczy u nas wiele, ale zniesie ona dynastję, monarchję wraz z całym prusactwem, zabije bismarkowską pychę, przemoc, cynizm, junkierstwo, urąganie ludzkości... Ona wyłoni nowych ludzi, mocnych wielką ideą ludzkości, z okopów przyjdą Nowe Niemcy. I gdyby nasz Kurt dożył tej godziny, on byłby wodzem odrodzonego narodu...

— Ciszej, ja nie chcę przez ciebie wpaść w głupią awanturę!

— Dobrze, ciszej. Wiesz, co nas łączyło z twoim synem. On był ozdobą mego życia. Spędził w moim domu sześć lat — od dziecka do matury. Kochałem go, jak rodzzonego syna...

(D. c. n.).

MAYERLING

3)

Przed południem zjawiali się u niego: prezes ministrów, lub jeden z ministrów, wezwany specjalnie przez cesarza, prefekt policji, oraz wyżsi oficerowie: szef sztabu, szef armji. Bowiem cesarz Franciszek Józef był, przedewszystkiem, żołnierzem, i rzeczy najmniejszej nawet wagi, lecz dotyczące armji, posiadały w jego oczach olbrzymie znaczenie.

Następnie rozpoczynały się audjencje. Trwały krótko i cesarz przyjmował niewiele osób. Tych, którzy byli łaskawie przyjęci na audjencjach prywatnych, musiała zdumiewać prostota cesarza. Niemniej postawa Franciszka Józefa i jego przyjacielski ton wykluczały wszelką poufałość. Było to charakterystyczne dla cesarza: potrafił trzymać ludzi z daleka, nie uciekając się do dumnej i poważnej postawy i bez teatralnych efektów. Robił wrażenie dobrodusznego, lecz nie znosił najmniejszego uchybienia etykiety, którą sam opracował drobiazgowo i wprowadził na dwór austriacki. Jako naczelnik domu Habsburgów, prowadził swoją rodzinę na sposób dyktatorski i manewrował arcyksiężętami, jak kapral plutonem żołnierzy. Był tak skrupulatnie punktualny, że ci, którzy mieli się widzieć z nim, przychodzili zawsze o kwadrans wcześniej — z obawy ażeby nie spóźnić się. Gdy miał się udać na jakieś oficjalne przyjęcie, czy wielką paradę wojskową, stajnie cesarskie otrzymywały rozkaz, ażeby poprzedniego dnia zaprzężono pojazd cesarski i żeby konie przebyły tę samą przestrzeń, która je czekała nazajutrz. W ten sposób tylko — uważał Franciszek Józef — można było dokładnie wymierzyć czas trwania drogi.

W Schönbrunn, rezydencji wiosennej i jesiennej, dni mijały jednakowo. Cesarz opuszczał Schönbrunn lub Hofburg, by brać udział w oficjalnych uroczystościach — gdzie jego obecność była wskazana — i w manewrach wojskowych. Jeździł też na polowania i podróżował po swoim państwie. Od czasu do czasu odbywały się przyjęcia w Hofburgu: obiady na cześć zagranicznych gości, wielkie bale dla arystokracji austriackiej.

Ceremonjał najściślejszy, najbezwzględniejszy, wzorowany na hiszpańskiej etykiecie, był pilnie przestrzegany na dworze Franciszka Józefa. Na przyjęcia w Hofburgu dopuszczano jedynie osoby z arystokracji, mogące się wykazać szesnastym pokoleniem.

Opowiadano, nie bez pewnego odcienia dumy, anegdotkę o arcyksięciu rosyjskim, który podczas pewnego balu w Budzie prosił, ażeby mu przedstawiono żonę głównodowodzącego generała armji austriacko-węgierskiej. Arcyksięcia łączyła serdeczna przyjaźń z generałem. Otóż oznajmiono arcyksięciu, że generałowa, należąca do jednej z najlepszych rodzin austriackich, nie była urodzona, a więc pomimo wielkiego stanowiska, jakie zajmował jej mąż, nie mogła być przyjmowana na dworze, a co za tem idzie i na oficjalnych przyjęciach.

Tak mijało życie cesarza, życie jednostajne, monotonne, które przytłaczały odpowiedzialności, jakie wziął na swoje barki.

Był jedynym władcą podwójnej monarchji. Najbardziej skomplikowane zagadnienia państwa — w skład którego wchodziły obce kraje, odrębne, zwalczające się wzajemnie narodowości — przerastały jego siły. Państwo, w którym starcia osobiste zaostrza-

ły się przez przeciwstawienie ras, oczekiwało od niego rozwikłania trudnych problemów. On był dla rozmaitych narodów żyjącą jednością cesarstwa.

Dziedziczny instynkt ciężkiego rzemiosła królewskiego, wrodzony i ostry zmysł gry politycznej łączył się z zaletami osobistymi, które były niezbyt błyskotliwe. Wywiązywał się z swojego twardego i nużącego zadania z dużą zręcznością, wprowadzającą kiedy niekiedy w rzetelne zdziwienie najdzielniejszych i najzdolniejszych mężów stanu. Ale po dniu wypełnionym pracą był zmęczony, w głowie czuł pustkę, w niczem nie znajdując przyjemności. Nigdy nie posiadał rozmachu ani fantazji. Po skończonej pracy nie wiedział, co począć z sobą, i włókł za sobą swoją nudę po apartamentach Hofburga, albo też zażywał konnej przejażdżki po Praterze.

Ożenił się z miłości i to romantycznie z młodzieńkiem dziewczątkiem, kuzynką Elżbietą, córką Maksymiljana, księcia Bawarskiego.

Miała piętnaście lat, gdy zakochał się w niej z pierwszego wejrzenia. Przez swój egoizm, niezręczność i oschłość nie potrafił wzbudzić w niej miłości. Była niezwyklej urody, którą nieczęstym zbiegiem okoliczności można określić mianem — królewskiej urody. Wspaniała postawa, smukła figura, chód bogini, twarz o szlachetnym owalu, proste brwi, coś dumnego w spojrzeniu, i najpiękniejsze na świecie włosy; tak wyglądała w szesnastym roku życia.

Djana, która zstąpiła na ziemię — taką się wydała oczarowanym spojrzeniom Wiedeńczyków.

Była dzieckiem niemal. Z namiętnej i melancholijnej rasy Wittelsbachów, rozmiłowana w sztuce i samotności, zrozumiała szybko, że wielkości życia dworskiego i światowego nie nasycą jej zgłodniałej duszy. Oddalała się stopniowo od Franciszka Józefa, z którym nie miała nic wspólnego, i który był daleki od zrozumienia jej. Można rzec śmiało, że gdy tylko stała się samą sobą, zniknęła spójnia serc, między Elżbietą i jej mężem. Wypełniała swoje obowiązki, gdyż wiedziała, do czego ją obowiązuje stanowisko, na które ją wyniósł Franciszek Józef — niemniej żałowała, że wstąpiła na tron. Te godności i zaszczyty nie były dla niej szczęściem. Gdy wydała na świat Rudolfa, osądziła, iż wypełniła obowiązki względem cesarza i monarchji.

Po urodzeniu następcy tronu zaczęła coraz rzadziej pokazywać się na dworskich uroczystościach. Lodowata atmosfera Hofburgu dobijała ją. Czyż mogłaby znieść ponurą nudę, płytkość, drobiazgowość, konwencjonalizm, regulujący każdy jej ruch i każde słowo? Marzyła o życiu wolnem i pięknem, życiu pełnem rozmachu i polotu, w którym zarówno ciało, jak i duch osiągnęłyby pełnię rozwoju. Była rozmiłowana w wędrówkach po obcych krajach, Odysei, kulturze fizycznej i rozmowach z największymi myślicielami obecnej i minionej epoki — poprzez ich dzieła. Posiadała doskonały gust i oryginalną indywidualność. Była niemal jedyną osobą w Niemczech, zachwycającą się liryzmem i sarkazmem Henryka Heinego. Pozatem kochała przyrodę, niebo i chmury, ciszę lasu, rośliny i wicher, szmer wód, wszystkie przekonywujące głosy ziemi. Lecz czy słyszała je poprzez masywne i grube mury Hofburgu? Przyduże

uszy cesarza były raczej stworzone do wysłuchiwania raportów swoich urzędników.

W Wiedniu, w wspaniałym maneżu hiszpańskim, który znajdował się w obrębie Hofburgu, cesarzowa dosiadała konia. Jeździła tak wspaniale, że mogły jej pozazdrościć najlepsze zawodowe amazonki. Siodłano jej najpyszniejsze konie z stajni cesarskich, te wspaniałe bułany, wywodzące się w prostej linii z koni Karola Quinta. Lecz cesarzowa wolała spacerować przez lasy i pola.

Najmilszym okresem roku był krótki czas, jaki Elżbieta spędzała na zamku Godollo, w północnych lasach Węgier. Tutaj minimum przymusu. Nic nie dzieliło jej od natury.

Zdrowie cesarzowej budziło od czasu do czasu pewne obawy. Korzystała z tego pretekstu, by opuszczać Austrię i udawać się w dalekie strony. Zwiedziła, dzięki temu, Madagę, Korfu, południe Francji, Anglię, Normandję.

W Hofburgu nie udawało się jej wymykać cesarzowi. Zjawiał się u niej, gdy tylko miał wolną chwilę, pomiędzy jedną audjencją a drugą. Słyszała skrzypienie jego butów po czterech stopniach, łączących ich apartamenty. Wchodził. Już z trudem znosiła jego chód elastyczny i miarowy starego oficera. Mówił. Sam głos Franciszka Józefa, głos głuchy, bezdźwięczny, pozbawiony jakiegokolwiek kolorytu — bowiem cesarz zmuszał się, by nigdy nie podnosić głosu — wywierał na cesarzową wrażenie nieprzeartej nudy. Lecz nigdy nie dała tego odczuć cesarzowi. Pozwalała mu omawiać daty takiego lub innego przeniesienia, albo też opowiadać anegdotki, które mu doniesiono zrana. Pozwalała mu skarżyć się na powtarzające się wciąż kłopoty, jakie wynikały z kierownictwa tym olbrzymim majątkiem, który tworzyła monarchja Habsburgów, gdzie czterdzieści milionów ludzi rozmaitych i wrogich narodowości obijało się o siebie.

Słuchała cierpliwie, nigdy nie okazując najmniejszego niezadowolenia. Przeciwnie nawet, była uważna i skupiona; jeżeli cesarz zwracał się do niej o jakąś radę, potrafiła zawsze udzielić mu jej. A kiedy Franciszek Józef opuszczał jej pokoje, powracała do przerwanej lektury: jakiegoś poematu Henryka Heinego, lub najnowszej powieści Dostojewskiego, która ją odrywała od Wiednia, Hofburgu, Franciszka Józefa i prowadziła na bulwary Petersburga, w białą noc, lub do Stefanickowa razem z Fomą Fomiczem.

Bohaterowie książek byli dla cesarzowej Elżbiety bardziej rzeczywiści i mocniej z jej życiem związani, niż złociści szambelanowie, którzy pochylali się przed nią z szacunkiem, gdy mijała salony Hofburgu.

Cesarzowa była w częstych rozjazdach. Nawet w Wiedniu brała niewielki udział w codziennym życiu swojego męża. Prawdę powiedziawszy, nudził ją, ale litowała się nad nim.

Uważała, że jest własnym oprawcą, że wprzął się dobrowolnie w ciężki kierat nieustającej pracy, świadoma, że jednym z motywów tego — była próżność.

Wtedy to, na kilka lat przed epoką, w której toczy się moje opowiadanie, wpadła na osobliwy pomysł. Postanowiła wyszukać przyjaciółkę dla dostojnego męża. Cesarz zaczynał się starzeć, i w godzinach wytchnienia była mu konieczna wesołość.

„Przydałaby mu się młoda kobieta, w której towarzystwie mógłby się rozerwać i zapomnieć o swoich troskach i kłopotach. Tak jest, byłaby wskazana osoba zdrowa, młoda, wesoła, powtarzała sobie bezustannie.

Lecz gdzie znaleźć taką, która zgodziłaby się

pozostać na swoim miejscu, która by nie zaczęła intrygować i nie stałaby się narzędziem w rękach koterji? W środowisku dworskiem rzecz ta wydawała się mniej możliwą, niż w każdym innem, bowiem wszystko na dworze polega na ambicjach i dążeniu do wybicia się na pierwszy plan. Kół burżuazyjnych cesarzowa nie znała wcale. Pozostawał więc świat artystyczny, zawsze mile widziany w Wiedniu i stykający się dosyć często z sferami towarzystwa arystokratycznego.

Cesarzowa Elżbieta przypomniła sobie aktorkę z Burgteatru, która została jej przedstawiona podczas jakiejś zabawy na cele filantropijne, a o której słyszała bardzo wiele dobrego. Pani Schratt była młoda, wesoła, śliczna, łatwego usposobienia. Cesarzowa kazała ją sprowadzić do siebie. Znalazła, że jest czarująca. Postarała się, by cesarz spotkał panią Schratt. Wdzięk, prostota i uroda aktorki podbiły serca obojga małżonków. Należy sądzić, że w stosunku do ludzi cesarzowa posiadała doskonałą intuicję. Pani Schratt została serdeczną przyjaciółką cesarza i przyjaźń ta trwała przeszło trzydzieści lat, to jest do końca. Widywał ją codziennie to w Hofburgu, w własnych apartamentach lub cesarzowej, to u niej w mieszkaniu. Kupił jej dom na Kartner Ringu, o dwa kroki od pałacu.

Spędzał z nią godzinę lub dwie — wieczorem. Pani Schratt odwiedzała cesarzową przed południem. Zrodziła się głęboka sympatja pomiędzy temi dwiema kobietami. I rzecz zdumiewająca, nigdy cesarzowa nie miała powodu żałować wyboru, jaki uczyniła; nigdy pani Schratt nie miała ochoty wtrącać się do rzeczy, które jej nie obchodziły, i nigdy nie usłuchała rad ludzi, którzy chcieli wyzyskać dla siebie wpływy pięknej przyjaciółki cesarza. Wsłuchiwała się w słowa cesarza z głębokim przejęciem i zaskarbiła sobie w tym stopniu zaufanie Franciszka Józefa, że mówił jej o wszystkim z najzupełniejszą swobodą. Potrafiła zająć i zabawić tego mężczyznę, który nudził się; podziwiała go, kochała go.

Tak więc, w tym antycznym pałacu, pomiędzy trzema osobami, różniącemi się zasadniczo od siebie, utrwaliły się więzy miłości, przyjaźni i wzajemnego szacunku, które — gdy się pomyśli o wielkości i skromnem pochodzeniu trzeciej, i gdy się rozważy, o czym musiały zapomnieć, by dać z siebie tylko najlepszą i najważniejszą część — tworzą z tego związku w troje rzecz jedyną na świecie, i która nie powtórzy się nigdy, bo była możliwa tylko w pogodnej i czarującej atmosferze Wiednia.

Pozbywszy się tej troski, cesarzowa oddała się swobodniej rozpaczliwym skłonnościom, pchającym ją ku samotności i marzeniom.

Czyż nie należała do królewskiego rodu, który wydał nie żołnierzy i zdobywców, lecz królewiczów niespokojnych, wrogów czynu, wielbicieli sztuk pięknych, zakochanych w tem wszystkim, co pozwala uciec od świata, przesadnych zresztą w swoich namiętnościach i doprowadzających je do punktu kulminacyjnego, gdzie kończy się rozum i rozpoczyna szaleństwo. Była do nich podobna. Jak oni, pragnęła uciec przed sobą. Dzieci nie przywiązały jej do ogniska rodzinnego, przy którym czuła się obcą. Jej dwie córki w niczem nie były podobne do matki. Prawdziwe Habsburżanki od stóp do głów! Obce dzieci! Czarujący, rycerski i dumny Rudolf był naprawdę jej synem. Bardzo często wyrzucała sobie, że razem z temi zaletami przekazała mu i inne cechy dziedziczne. Z jakim trudem wyrwano go śmierci zaraz po urodzeniu!

(D. c. n.).